№ 31. Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

TREŚĆ: Poeta-mściciel. Studyum literackie (dokończenie). — Duma o Marynie (wiersz). — Bratki (nowella) (dalszy ciąg). — Teatr. — Wiadomości. — Rozmaitości. — Z dziedziny humorystycznej. — Zawiadomienie. W Dodatku: Helena Clifford (arkusz 7).

POETA-MŚCICIEL.

STUDYUM LITERACKIE,

PRZEZ

Klemensa Podwysockiego.

(Dokończenie.)

Boleść nad boleści, nieszczęście bez granic, lecz to nie jest jeszcze kara za ów zamach! Oto poeta przenosi nas na pola Waterloo. Zwycięztwo, pewne już prawie, nagle zmienia się w porażkę olbrzymią. Oczekiwano przybycia Grouchego, a oto Blucher staje do walki! Chaos zamienia się w otchłań płomienną, która armią, gwardyą, ostatnią nadzieję pochłania.

„Szli z bronią na ramieniu; dumni, w mur się zwarli,
A żaden się nie cofnął. Śpijcie, szczytnie zmarli!
Na trupach tych, zdumione hufy bohatera
Patrzą, jak niezwalczona gwardya umiera!
A wtedy to, podnosząc głos rozpaczy, blada,
Z obliczem obłąkanem, w bój *Ucieczka* wpada!
I oto, najdzielniejsze chwieją się zastępy,
Sztandary niezwalczonych poszarpane w strzępy,
A widma postać, straszna, ogniem w tłum ziejąca,
Łeb wznosi, olbrzymieje, szeregi roztrąca;
Stanąwszy przed szrankami, które już się chwiały,
Dłonie łamiąc, zajękła: „Ratuj się, kto cały!"
„Ratuj się! hańba! klęska!" Usta ustom wtórzą...
Obłąkani, znękani, gnani sromu burzą,
Jak gdyby niewidzialny prąd ich pchał, żołnierze,
Przez pola, wozy, trupów stosy i moździerze,
Puszczają się w parowy, zbóż tonie, szuwary,
Rzucają swe bermyce, płaszcze, broń, sztandary,
Pod pałaszami wroga, zgrozo! weterani
Drżą, ryczą, uciekają, płaczą!.. Jak w otchłani
Pożaru, wątła słoma, wichrem pochwycona,
Leci, znika, tak armia pierzcha, pada, kona!...
I pola, dziś marzące, ucieczkę widziały
Pogromców, przed którymi świat uciekał cały!"

I w jakich że to dziejach spotkamy klęskę nad tę straszniejszą? A wszakże i ona jeszcze nie wystarcza poecie. To nie jest jeszcze kara dostateczna dla Napoleona I-go. Wyspa Ś-tej Heleny, sęp angielski, co szarpał na skale samotnej nowego tego Prometeusza, wszystko to nie dość jeszcze było, w przekonaniu poety, dla sprawiedliwości Bozkiej. Jakaż będzie ta kara wreszcie? Oto powrót do władzy rodziny pogromcy Europy, parodya jego cesarstwa, cała sława jego imienia hańbą okryta.

Gdyby „Expiacya" do końca wytrwała była na piedestale powagi szlachetnej, gdyby w wielu miejscach nie zstępowała na poziom trywialności, byłoby to arcydzieło, jedyne w literaturze francuzkiej.

Lecz, zaprawdę, krytyk musi zapatrywać się na ten utwór z punktu właściwego i brać go za to, czem jest w istocie; jest to pojedynek na śmierć pomiędzy wygnańcem z Jersey i sprawcą przewrotu państwowego 2 Grudnia.

Pojedynek! słowo to całą myśl naszą wypowiada. Poeta podniósł wojnę osobistą z cesarzem i po latach ośmnastu otrzymał zwycięztwo. Że ten Goliat nie padł pod kamieniem, którym w niego ciskał ów Dawid z za morza, ufny w swoją procę i w słuszność swej sprawy, to mniejsza! Olbrzym ten runął w końcu, a pierwszy cios, który weń ugodził, padł z dłoni mszczącej się muzy. Wszystko co później mógł powiedzieć i uczynić poeta, nie wpływało już wcale na epilog tej walki, lecz w dniu, w którym dzieło swe drukiem ogłosił, zaczął on ten bój, któ-

ry ktoś inny miał zakończyć, a tym kim innym był cudzoziemiec, niestety! Poeta zadał cios monarsze, cios, którego ten ostatni mógł nie czuć w danej chwili, lecz jad tej strzały wpłynął mu w arterye. Zdawało mu się, iż ciosy te nie mogą dotknąć go wcale, jako przechodzące miarę i w tem właśnie tkwiła trucizna, to go zabiło. Nie chciał się on dopatrzéć prawdy groźnej pod zjadliwą obelgą. Nie jesteśmy zwolennikami fatalizmu, lecz zdaje nam się, że na wszystkie prawie oskarżenia, któremi roi się ten poemat, władzca, co był ich przedmiotem, starał się, rzekłbyś, zasługiwać; wszystkie szały, których zdolnym poeta go uważał, jakby usiłował popełnić i sam umożebnił, że tak powiemy, rozwiązanie swej karyery w sposób, sprawdzający najzupełniej przepowiednie mściciela. Francuzi, w bezstronnej swej surowości, a może pod wpływem tradycyjnej czci dla tego, kto nosił imię wielkiego ich zdobywcy, zarzuty poety uważali za nadmierne. Czuli oni, że rządy Napoleona III często zbaczały z drogi rozumu i groziły im niebezpieczeństwem w przyszłości, lecz wierzyli jeszcze, iż przyjdzie opamiętanie, promień światła z góry, że zresztą ocknie go przykład smutny upadku jego poprzednika. Jaki miał być koniec tego panowania, rzecz pewna, że poeta, równie, jak naród, wcale nie przewidywał. Zdawało się więc, że opinia publiczna będzie lepszym prorokiem, niż Orfeusz Rzeczypospolitej.

Lecz, niestety, lubo dalecy jesteśmy od obarczania zarzutami człowieka, co się stał ofiarą upadku tak ciężkiego, pozwolimy sobie nawiasowo postawić pytanie: czy monarcha ten pomyślał bodaj na chwilę o tem, że on sam, jakby się starał przekonać Francyą i świat cały, że najzawziętsi nawet jego nieprzyjaciele zbyt wysokie o nim mieli przekonanie?

Fatalne lekceważenie w tym względzie, szczególnie w ostatnich latach jego rządów, zdaje się upoważniać nas do wniosku stanowczego, iż ani na chwilę o tem nie pomyślał.

Tymczasem, przeciwnik jego, od początku do końca tej walki idealnej, jest czujnym, groźnym, wytrwałym. Staje on w obronie sprawy narodu całego, rzeczypospolitej i wolności. Jak owa bohaterka tragiczna, odwieczny typ zemsty, woła on ciągle:

„Ja sam! I to starczy!" Francyą całą w sobie czuł żyjącą. Osobistość olbrzyma! Hołd, złożony przez bożka na własnym ołtarzu! Tak, i dumę tę słusznie mu dotąd zarzucają. Wygnanie, samotność, nieobecność kogobądź ze śmiertelnych, coby uczuć jego nie dzielił, wszystko to wzmagało jeszcze więcej tę pychę pustelnika. Pychę! A jednakże dziwny jakiś urok tkwi w tej potędze duchowej człowieka, który ufa samemu tylko sobie i na samym sobie polega:

„Nikt nie upadł, nikt, pokąd jeden mężnie stoi!
Krew naddziadów, co legli w nieskalanej zbroi,
Cnota, duma, wyroczne dziejów przeszłych słowo,
Cały naród, z koroną sławy swej wiekową,
Żyje w mężu ostatnim, co się nie zgiął dumny.
By świątynię podtrzymać, dość jednej kolumny!
Jeden Francuz, to Francya! Rzymianin, Rzym. Wrogą
Narodu harpią jeden śmiałą zgniata nogą!"

A więc sam będzie walczył i by zapewnić, sobie zwycięztwo, uzbraja się jedynie w rymy płomienne. Z nich uczyni on z kolei miecz, pochodnią, żelazo rozpalone, z nich wytworzy cały przyrząd tortur. Pycha olbrzymia! Poeta stanie się pogromcą zwierząt, by zgnieść potwora.

„Wesprzyj mnie, Boże Wielki! Ty, siło jedyna!
Wesprzyj, a oto wejdę do Korsykanina,
Ja, co jestem niczem!

Ciskając weń rymami, co, jak grom Twój, palą,
Wejdę, Boże, z Temidy w jednej dłoni szalą,
A zaś w drugiej z biczem!

Jak lwów pogromca, rękaw zawinąwszy, srogi,
Straszny, całunem śmierci wstrząsając, w te progi
Tyranii szafarza,

Wejdę, jak mściciel groźny, co strachem uderza,
I stopą zgniotę, zetrę precz z jaskinią zwierza,
Z cesarstwem cesarza!

Zanadto ogniste to strofy; zdaniem naszem, pogarda szlachetna zawsze jest wymowniejszą od gniewu namiętnego; poezya zaś nigdy nie straci nic ze swej siły, miarkując się w wybuchach oburzenia. Wiktor Hugo byłby wielkim na całe wieki poetą i bez tych klątew ognistych; utwór jego, o którym mowa, stanąłby nierównie wyżej, gdyby śród tylu strof promiennych i trzeba wyznać, świetnych, czytelnik znalazł w nim więcej attycyzmu. Eschyles, Dant i Juwenal, których on uznaje za swych mistrzów, nie dali mu nigdzie wzorów takich ciągłych uniesień gniewu. Oto, co, w przekonaniu naszem, potępiwszy monarchę i uczciwszy uznaniem poetę, potomność wyrzeknie o tej werwie gwałtownej i prawie zapamiętałej. Lecz Francya obecna, po sromotnym i nieszczęśliwym rozgromie, jakiego, dzięki nieoględności swego monarchy, doznała, nie mogła nakazać sobie sądu zimnego w tej sprawie i bezwarunkowo potępiła Bonapartego, jako sprawcę jej hańby i nieszczęść, a stanęła po stronie wygnańca, który z taką werwą rycerską wytrwał do końca w pojedynku.

Przyszłość osądzi, czy rewolucya 1848 roku była potrzebną, lecz w epoce tego przewrotu, który pociągnął za sobą skutki tak zgubne, Francuzi powtarzali z dumą: „Szaleni stali się rozsądnymi!" (Les fous sont devenus les sages"). Uważali się więc za rozsądnych, a poetę obarczali epitetem szaleńca. Losy postawiły natenczas naród francuzki wobec dilemmy zagadkowej i uczynił on, pomimo cały pozór rozsądku, wybór fatalny. Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem głębiej, co powodowało ośmiu milionami głosujących. To pewna tylko że widziano wtedy pokój, porządek, ustawy społeczne tam, gdzie tego wszystkiego wcale nie było. Wygnaniec, szalony i nieprzejednany, trafniej przejrzał przyszłość, niż rozsądni a Opatrzność, która chciała zadać kłam rozumowaniu ogółu, sprawdziła przewidywania poety. Zaprzysiągł on, wobec siebie samego i swej samotni, nie ugiąć się, wytrwać do końca.

. . . .

Duma o Marynie.

(Podług podania ludowego.)

Siadł kruk czarny na kurchanie,
I uważnie słucha,
Aż pieśń stepu z mogił wstanie,
Smutna, tęskna, głucha...

Szemrzą trawy i badyle,
Szepczą sobie dziwy,
Że bez życia śpi w mogile,
Kozak urodziwy. .

Śpi bez życia kozak młody,
Ziemia pierś mu tłoczy,
Co jak słonko w Dniepru wody,
Patrzał w lubej oczy.

Patrzał, pieścił oczy krasne
I włosy dziewczyny,
I to liczko białe, jasne
I kibić Maryny...

Dziewczę chętnie też czasami,
Słów chłopca słuchało,
A gdy walczyć szedł z wrogami,
Miłość przysięgało.

Poprzysięgli sobie wiecznie,
Kochać się oboje,
Potem pobrać się statecznie,
Gdy przeminą boje.

Poszedł walczyć kozak młody
Z wrogiem ciąć hołubce...
Tęskno było... i jagody
Posmutniały lubce.

Smutno było, i płakała
Za lubym dziewczyna,
Jedna tylko z dum śpiewała:
„Hej! w dali chłopczyna."

Grają trąbki, dźwięczą bronie,
Słychać dum śpiewanie;
To kozacze lecą konie,
Rżą na powitanie.

„Hej! wróg zbity! Śpij w ziemicy,
Czarny poganinie,
My przy czarce, krasawicy,
Zabawim się ninie."

I grzmią śpiewy, krążą dzbanki,
Cieszy się kto żywy,
Smutny, szuka swej bogdanki,
Kozak urodziwy.

Próżno wkoło okiem wodzi,
Zapomniała płocha,

Już dziś z innym tańczyć chodzi,
Już innego kocha.

Hej! innemu oczy krasne,
I jej warkocz złoty,
I to liczko białe, jasne,
Mnie ginąć z tęsknoty."

Westchnął kozak, ręka wroga,
Ciało mu zraniła,
A kochanka, gorzej wroga,
Serce w nim zabiła.

Więdnął biedny, jak bez wody,
Więdną trawki, kłosy,
Uschnął w końcu kozak młody,
Bez miłości rosy.

Śpi na wieki, śpi samotny,
W stepowej mogile,
Pieśń mu nuci wicher psotny,
Trawy i badyle.

A Maryna wśród młodzieży,
Wesoło rej wodzi,
I na tańce chętnie bieży,
I śpiewy wywodzi.

Przyszło święto Katarzyny,
Dzień ten wróżbom służy...
W noc wychodzą w step dziewczyny,
Każda sobie wróży.

Wyszła także i Maryna,
Wyszła na kurhanek,
Słowa zaklęć szeptać wszczyna,
Pyta gdzie kochanek?

Jak w zwyczaju, sprawia czary...
W tem trzasną badyle,
Wicher zawył ponad jary,
Ktoś jęknął w mogile.

Aż i ziemia wraz zadrżała,
Otwarł się kurhanek,
Z ziemi wyszła postać biała,
To zmarły kochanek.

Jakby w ziemię wrosła dziewka,
Zbielała jak chusta,
Hej! nie wyjdzie zaklęć śpiewka,
Marynie przez usta.

Zmarły kozak w jej źrenice
Wpił swój wzrok lodowy,
W śmiech szyderski skrzywił lice,
Zagrzmiał głos grobowy:

— Tyś mnie kochać przysięgała,
Przed Boga obrazem,
Tyś mi rękę oddać miała,
Żyjmyż z sobą razem.

Pójdź w objęcia me kochanie,
Wszak chciałaś kochanka!
Pójdź wygodne mam mieszkanie,
Tam wewnątrz kurhanka.

Chwycił dziewkę, znikł w mogile,
Wiatr ryknął żałośnie,
Szumią trawy i badyle,
Pieśń nucą rozgłośnie.

Na mogile kruk zmęczony,
Siadł i dumy słucha...
Kracze w smutne głosu tony
I pieśń smutna, głucha...

Szczęsny Zahajkiewicz.

BRATKI.

NOWELLA

PRZEZ

HELENĘ.

(Dalszy ciąg.)

* * *

Dzień zawitał jasny i pogodny. Jasne promienie słońca zaglądające do okna wcześnie, zbudziły Jerzego; wstał rano rzeźwy i wesół, a ponieważ lubił ranne przechadzki, wziął za kapelusz i wyszedł do ogrodu. Ogród w Tęczowej był bardzo starannie utrzymany. Przed oknami widniał śliczny kwiatowy ogródek, pełen klombów misternie ułożonych i kobierców z rezedy, stokrotek, bratków i różnobarwnej lewkonii. Całe bogactwo flory jesiennej zebrane tu było i nęciło wzrok delikatnością cieni i barw, różne kolory jak wstęgi wiły się po gazonach i splatały we wzorzyste desenie. Po środku ogródka urządzono sadzawkę, w której pływały małe rybki i raczki, wkoło niej stały ławki żelazne skryte w cieniu bzów i klonów. Minąwszy ten mały raik, Jerzy skierował się w jedną z pięknych cienistych alei parku. Tam było prześlicznie; ptaszki śpiewały na drzewach, roje muszek brzęczały w powietrzu, a gałązki i konary starych lip tworzyły nad głową sklepienie. Niekiedy tylko promienie słońca zazierały do jego wnętrza i odkrywały oczom pas lazurowego nieba.

W tej alei było zacisznie, rozkosznie, jak w lesie. Jerzy ujrzał tam małą statuetkę Matki Bozkiej, postawioną wśród gałęzi. U stóp jej leżał wianek ze świeżych kwiatów. Opodal mieściło się siedzenie z darni, Jerzy postanowił odpocząć trochę na niem, to tak przyjemnie posiedzieć rano w ogrodzie. Zaledwie jednak zabrał miejsce, usłyszał gdzieś niedaleko srebrnym głosikiem Wiluni wymówione:

— Ah! czy długo jeszcze będę ci potrzebną!

Obejrzał się, ale nic nie zobaczył, bo gęsty szpaler liści zasłaniał mu widok. A tymczasem usłyszał w dalszym ciągu całą rozmowę, prowadzoną gdzieś widocznie w blizkości niego:

— Ja bym nie mogła tak codzień po parę godzin malować, jak pół godziny porysuję, to już mam tego dosyć na jaki miesiąc — mówiła Wilunia.

— Ty co innego, ty rysujesz dla zabicia czasu, a ja maluję z prawdziwem zamiłowaniem. I patrz, czyż te oczy teraz nie są zupełnie twoje, albo te usta... te włosy?

Jerzy zdawał się rozpoznawać głos panny Herminii.

— Ah! to ja, to zupełnie ja, Jerzy nawet mógłby się pomylić i wziąć ten mój portret za mnie samą.

— Jakże się cieszę, żeś mi się tak udała. Powiedz tylko Wiluniu, czy nie jest to prawdziwa przyjemność dojść pracą swą do tego, aby módz rysy ukochanych osób uwiecznić na płótnie, za pomocą kolorów i pędzli uczynić je żyjącemi! Sztuki piękne podnoszą ducha do wyżyn ideału i doskonałości, one kształcą estetyczną stronę w człowieku, są pokarmem dla wyobraźni naszej, którą żywią nieustannie i podniecają. Jeżeli więc Bóg nam dał iskrę talentu, obowiązkiem naszym jest rozdmuchać ją, aby wielkim płomieniem ogarnęła kiedyś istotę naszą i nasyciła potrzeby naszego ducha. Ja kocham całą mocą mej duszy wszystko co dobre i piękne!

— Masz słuszność, siostro—zaszczebiotała znów Wilunia — i czy wiesz? czasem żałuję, że nie jestem do ciebie podobną, że nie umiałabym tak jak ty pracą i nauką wypełnić swego życia. Gdy jednak pomyślę sobie, że rozkosz innych uczuć jest ci nieznaną, że ty nie pojmujesz np. co to wielka gorąca miłość dla człowieka, co ma zostać na wieki kochankiem i mężem, że widnokrąg twój nie rozwidni nigdy gwiazdka szczęścia rodzinnego, zapalona u ogniska domu twego, o! wtedy mi prawie żal ciebie, bo jabym tak żyć nie mogła.

Jerzego rozmowa ta żywo zajmowała i szukał wciąż sposobu zbliżenia się do pań, które mimowoli podsłuchiwał, ale niestety nie mógł nigdzie natrafić na furtkę. Tymczasem znów usłyszał głos Herminii:

— Ah! Wiluniu nigdy, nigdy mnie nie żałuj, bo życie moje nie jest odarte z wszelkiego uroku jak ci się to wydaje. I czy wierzysz, droga moja, że nieraz, gdy otoczona dziatwą wiejską, uczę ją wielbić i kochać Boga, gdy pochylam się nad chorą dzieciną, lub staruszką, którą moje starania uzdrowiły, gdy matka moja przyciśnie mnie do serca i powie: „córko, dobrze spełniasz twoje obowiązki", lub w końcu, gdy patrzę na uśmiechnięte twarzyczki moich wychowanek, mówiących do mnie: „kochamy cię, jak najlepszą matkę," wtedy, ah wtedy! jestem tak szczęśliwą, iż pozazdrościć by mi mogła najczulej kochana żona i najgoręcej ubóstwiana kochanka. Albož nauka, książki, pisanie, malarstwo, muzyka, nie ubarwiają mego życia prawdziwą rozkoszą? Od dzieciństwa kochałam tylko rodziców, ciebie i pracę. Wieczorami, pracując do późna z piórem w ręku, cieszę się, że dorzucam ziarnko do plonu ogólnej pracy w celu kształcenia młodzieży: malując, marzę, że może kiedyś, płótna moje, warte będą zająć miejsce w jakim przybytku sztuki narodowej; zajmując się gospodarstwem i zarządem majątku, mimo trudów nieraz uśmiecham się, myśląc iż tym sposobem, ujmuję kłopotu i ciężaru matce najdroższej. I tak mi jest dobrze na świecie, tak ogrzana ciepłem matczynego serca nie czuję potrzeby ukochania kogoś, tak otoczona gromadą ludu naszego, używam przyjemności uczucia przyjacielskiego, tak widzę się użyteczną na swojem stanowisku, iż nie pragnę żadnej zmiany. Miłość jest treścią życia kobiety, inne kochają mężów i dzieci, ja kocham matkę moją, obowiązki i pracę!

W tej chwili Jerzy natrafił na wyjście ze swego zielonego więzienia; ujrzał furtkę w żywym płotku, pchnął ją i znalazł się na ślicznej polance, okolonej wieńcem starych drzew parku. W cieniu wielkiej lipy stały wysokie stalugi, na których widniał duży z wielką dokładnością rysunku i kolo-

rytu, ukończony już prawie portret Wiluni, z rozkwitłą różą w ręku.

Przed stalugami siedziała Herminia z paletą na palcu i pędzlami, obok niej leżała szkatułka z przyborami do malarstwa. W oddaleniu kilku kroków na miękkiej murawie siedziała Wilunia w białej sukni i ciemno ponsowym aksamitnym staniczku. Ożywiona rozmową podniosła główkę strojną w złote loki i uśmiechała się wdzięcznie, tak, jak i na portrecie. Nie mogła widzieć nadchodzącego Jerzego, więc też on zatrzymał się chwilkę i patrzał z zachwytem, ale nie na nią. Wzrok jego padł na twarz Herminii, która w tej chwili właśnie stanęła przed swoją pracą i uniesiona treścią rozmowy, ze wzrokiem pełnym ognia i wiary, z wyrazem namaszczenia i uroczystości wymawiała słowa: „ja kocham matkę, obowiązek i pracę.” Piękną była wtedy, jak nigdy; marmurowe czoło podniesione do góry, energiczną linią zarysowane, nadawało jej twarzy wyraz energii i siły ducha, czarne oczy błyszczały jak pochodnie natchnienia. Była piękną, wyższą jakąś uszlachetnioną, napiętnowaną inteligencyą i rozumem pięknością.

Jerzy nie mógł wzroku oderwać, nigdy jeszcze nie wydała mu się tak uroczą. Dziwił się, że dotychczas nie widział tego i nieokreślone jakieś uczucie go ogarnęło. Spojrzał w tej chwili na Wilunię, promieniejącą jak zawsze wdzięcznym uśmiechem i zadrżał. Herminia wydała mu się piękniejszą.

Tamta zrobiła na nim wrażenie cudownego, śmiejącego się do świata dziecięcia, a ta stała teraz przed nim jako dojrzała kobieta, odziana w blaski gorącej miłości szlachetnych celów. Długoby jeszcze przypatrywał się rysom Herminii, których piękność teraz ujrzał podniesioną urokiem rozumu i uczucia, gdyby nie to, że Wilunia go spostrzegła i zapominając o swej roli pozującego modelu, żywo pospieszyła powitać go serdecznem „dzień dobry”. On skłonił się paniom w milczeniu i zaczął opowiadać o rannej swej przechadzce i chwilowem uwięzieniu w gąszczu alei.

— Ależ cóż to za prześliczny portret! — zawołał naraz bacznie się przypatrując robocie Herminii. — Powinszować pani talentu, doprawdy, panna Wilhelmina zdaje się być żywą i nie wiem co mam więcej podziwiać, czy piękność modelu, czy wyborne oddanie mistrza!

— Pan Jerzy to straszny komplemencista — i Wilunia pogroziła mu paluszkiem.

— Zbyt łaskawie oceniasz pan moją pracę — wymówiła Herminia, sprzątając swoje malarskie przybory.

— Panie tak rano wstają?

— Zawsze o 7 i do 9 odbywają się artystyczne zajęcia, Herminka maluje mój portret, który ma ją po mnie pocieszać, gdy wyjadę z Tęczowej.

— Dobrą, kochającą ma pani siostrę, p. Herminia, choć nie lubi komplementów, tę jednak sprawiedliwość pozwoli sobie oddać.

— Kochać, nie jest żadną zasługą — zabrzmiała poważnie odpowiedź.

W tej chwili przybył służący do zabrania stalugi i blejtramu, panna Herminia za nim pospieszyła, Wilunia zaś i Jerzy zwolna skierowali się ku domowi, gdzie oczekiwało na nich śniadanie.

Ona jak zawsze była wesoła i ożywiona; on dość milczący, obojętniejszy jak zwykle. Choć uśmiechały się ku niemu dwa jasne, niebieskie bratki, jawnie czuł brak tych dwóch innych, czarnych jak aksamit, w których głębi czytał myśl promienną, wzniosłe pojęcie obowiązku i pracy.

Zwykle po śniadaniu, hrabina Horska wyjeżdżała obejrzeć swe gospodarstwo, chciała je pokazać Jerzemu, dlatego we troje z Wilunią udali się lekkim powozikiem w pole. Panna Herminia sama została w domu, ale nie na długo. Odbywszy ranną lekcyą z małemi swemi wychowankami, oddała je w opiekę starej piastunce, poczem narzuciła na siebie popielaty płaszczyk, wzięła na głowę duży czarny kapelusz, w rękę spory koszyk z pokrywką i śpiesznie wyszła. Bocznemi alejami parku wkrótce dostała się do wsi i skierowała się w stronę szkoły wiejskiej.

Po drodze spotykani wieśniacy z uszanowaniem uchylali czapki, a ona każdego serdecznie pozdrowiła i życzyła szczęśliwej pracy. Znać zjawienie się jej wśród białych ubogich chatek nie budziło zdziwienia, ani obawy, bo nawet psy, wrót stróże przybiegały lizać jej ręce i witały ją jak dobrą znajomą. Kurz, szarą oponą okrywał całą jej postać, wiatr rozwiewał czarne warkocze i sypał w oczy piasek, ale ona szła wciąż prosto mężna, niestrudzona, aż wreszcie dotarła do drzwi szkoły, w tej porze dnia już zapełnionej dziatwą różnej płci i różnego wieku. W progu powitała ją wysoka, szczupła, młoda jeszcze kobieta wyrazami:

— Cóż to dziś za okropny, ostry wiatr, prawdziwie jesienny! myślałam, że nie dozwoli pani przyjść do nas.

— Droga p. Klaro, ani wiatr, ani deszcz, ani śnieg nigdy mnie nie wstrzymają, jeżeli wiem, że moja obecność może gdzieś być komuś potrzebną. Czy wszystkie dzieci już są?

— Wszystkie, oprócz małej Kazi, która podobno jest chora, Marynka mówiła mi, że ma gorączkę.

— Natychmiast po lekcyi ją odwiedzę, biedna Kowalowa pewnie nie da sobie rady.

Tak rozmawiając Herminia zrzucała z siebie płaszcz i wyjmowała z koszyczka książeczki i obrazki, przyniesione dla dziatwy.

Panna Klara była to niedawno przybyła nauczycielka, której starsza panna Horska powierzyła nadzór nad szkółką wiejską w Tęczowej. Podołać samej tylu zajęciom i różnorodnym obowiązkom było nad jej siły; wybrała sobie do pomocy ubogą panienkę sierotę, samą jedną na świecie, która przejęta zapałem dla szczytnych celów Herminii, gorliwie pracowicie jej dopomagała. Była to jedna z tych cichych, spokojnych istot nieznanych światu, skrzętnych jak mrówki, które całe życie biedzą się i po źdźble znoszą okruszyny do tego gmachu pracy, co za lada kaprysem losu w gruzy się rozsypie. Smutne, bezbarwne było jej istnienie, w duszy szaro i blado jak na jej twarzy, jedynym promykiem słońca na horyzoncie życia było dziecię, brat jej 10 letni, na utrzymanie i naukę którego dzień w dzień pracowała. Ale on daleko w Warszawie w gimnazyum, a ona samotna. Na szczęście dostała się do Tęczowej, po wielu latach przebytych w różnych domach, wśród przykrości i upokorzeń znalazła rodzinę, która ją przytuliła, znalazła szlachetne serce młodej kobiety, którestało otworem dla wszystkich biednych i strskanych.

Piękna, bogata hrabianka, wyciągnęła do niej dłoń przyjazną i starała się uprzyjemnić jej życie. Teraz pod jej kierunkiem p. Klara potrafiła ukochać wraz z nią tych swoich maluczkich uczniów i w spełnieniu obowiązku szukać jak ona spokoju i szczęścia.

Jaśniej było w jej duszy, ale na znękanej twarzy pozostały ślady zawodów i cierpień.

Przywitawszy Herminię, Klara odemknęła drzwi prowadzące do dużej sali i obie weszły. Był to oddział dziewczynek, ujrzawszy wchodzące, wszystkie natychmiast powstały i rzuciły się całować rączki „złotej swej panienki”. Piękny widok przedstawiał się w tej chwili, w środku widnej, zapełnionej ławkami komnaty, stała wyniosła postać młodej kobiety, z uśmiechem pełnym dobroci na ustach, a wkoło niej cisnęły się główki jasne i ciemne jaskrawo poubieranych wiejskich dziewczynek. Każda z nich z prośbą, to użaleniem śpieszyła do niej, jak do najlepszej matki, najpobłażliwszej pani, a ona każdą wysłuchała, do każdej wymówiła słowo obietnicy lub pociechy. Ah! co to za rozkosz czuć się opiekunką i kierowniczką całej takiej gromadki, mieć to przekonanie, że się oświeca tyle małych główek, że na tyle dusz zlewa się źródło dobra i cnoty, że w tyle serc maluczkich zasiewa się ziarno nauki i prawdy.

Niebawem dziewczynki zajęły napowrót swe ławki, z przeciwnej strony zasiedli chłopczyki i całe to audytoryum złożone z 55 dzieci słuchało lekcyi katechizmu. Nauczanie robót ręcznych pozostawiła Herminia Klarze, ale język polski i religia były przez nią samą wykładane. Uważała za swój obowiązek uczyć ich poprawnego władania mową ojczystą, mówić im o Tym Dobrym Bogu, Ojcu wzywających Go dziatek, Stworzycielu wszechrzeczy, o Jego dziełach, Jego przykazaniach, Jego dla ludzi miłości... Ona umiała tak przemówić do nich, tak rozbudzić uczucie śpiące jeszcze w ich serduszkach, iż nieraz łezki czyste, jak kryształ błyszczały w ciemnych źrenicach dziatwy wiejskiej, a rączki drobne mimowoli składały się do modlitwy do Tego Boga, którego kochać i uwielbiać uczyła ich Herminia. A gdy widziała, że jest rozumianą, że praca jej wydaje szlachetne owoce, że kształci na zacnych rolników, na dobre kobiety i żony te dzieci tak gorąco do niej przywiązane, wtedy czuła się tak zadowoloną, tak szczęśliwą, iż nie wiadomo, czy była nią, choć w połowie w tej chwili śliczna Wilunia, używająca przejażdżki w towarzystwie narzeczonego i snująca w rozmarzonej główce najbarwniejsze plany na przyszłość.

Po lekcyi religii dzieci zasiadły do pracy ręcznej, dziewczynki do szycia, haftowania na kanwie, chłopczyki do plecenia koszyków i do tokarstwa. Urządzenie szkółki i planu zajęć, było dziełem Herminii, wszystkie jej usiłowania zwróciły się ku temu, aby zakład ten uczynić, jak można najkorzystniejszym dla wioski, przyjmowano doń dziatwę od lat 5 — 14, ze względu, że starsze dzieci potrzebne są rodzicom do wyręczania ich w domowej pracy, uczono tyle, aby dorośliszy umiały szukać szlachetnej rozrywki w czytaniu wybieranych przez proboszcza książek i tem lepiej pojmowały swe zadanie i obowiązki.

Kto w piersi swej nosi prawdziwe skarby bratniej miłości, ten cząstkę tego uczucia, potrafi wlać w każde swe czyny. Herminia wiele kochała, wiele pragnęła, wiele pracowała. Ta miłość chrześciańskiej duszy widniała wszędzie, oponą świetlanych blasków obejmując wszystko wokoło. Pożegnawszy wiejską dziatwę, Herminia znów ze swym koszykiem w ręku zwróciła się ku budynkowi, który zastanawiał przejeżdżającego Jerzego. Był to dom schronienia dla chorych starców, biednych kalek i pozbawionych opieki niemowląt. W górnych salach, wynajęte do dozorowania kobiety, uwijały się między szeregami łóżek, podając lekarstwa i pożywienie. Tam najpierw skierowała się Herminia, wszedłszy, troskliwie dowiadywała

się o stan zdrowia chorych, podała miejscowemu felczerowi przyniesione lekarstwa, razem z nim w małej apteczce przyspasabiała ziółka, poczem sama podchodziła do cierpiących, pytając jak się czują i czy mają wszystko, co im potrzeba. I cóż pomyślałby kto patrząc na nią, pochylającą się nad łóżkami schorowanych, ta piękna, wytworna, salonowa panna ma wspólnego z tymi nędzarzami o zapadłych policzkach i pomarszczonych czołach? Co ona przyszła tu robić, do tego zakątka łez i jęków, ona, której miejsce na szerokim świecie, wśród zabaw i przyjemności być musi? Ah! ale bo ona nietylko twarz ma piękną, stokroć piękniejszą jest dusza jej, czysta i wzniosła, opromieniona miłością bliźniego. W imię tego obowiązku, który nadewszystko ukochała, znajduje się ona dziś w tej sali, nie obawiając się dotknąć łachmanów i w pieszczoną dłoń swoją ująć zżółkłą spracowaną rękę chorego wyrobnika! O, bo to nie dosyć dawać ludziom tylko pieniądze, im się jeszcze należy od nas serce i współczucie, a kto nie ma innych bliższych obowiązków, ten powinien złożyć im na ołtarzu poświęcenia samego siebie.

Starsza panna Horska pojmowała to szczytne zadanie, ufundowawszy w Tęczowej dom schronienia, ilekroć razy mogła, sama przybywała tam, aby z prawdziwą troskliwością zająć miejsce siostry miłosierdzia.

Jak zawsze tak i dziś poważna i spokojna, ze łzą wzruszenia, w ciemnych źrenicach, zbliżała się do każdej postaci mizernej i bladej i jak anioł pociechy, wnosiła z sobą do tego przybytku niedoli jaśniejszy promyk życia i nadziei. W jednej z bocznych komnat przy otwartem oknie siedział w dużym fotelu 70 letni staruszek, któremu paraliż odjął moc władania nogami, siedział biedny i odmawiał pacierze, gdy Herminia przyszła go zapytać, czy wzmocnił go wczoraj przysłany bulion.

— Dziękuję ci, dobra pani, opiekunko i dobrodziejko nasza! — odpowiedział starzec, a wznosząc ręce w górę dodał: — Oby Bóg miłosierny błogosławił cię w życiu, jak my to codzień czynimy!

Wychodząc z sali chorych, Herminia poleciła felczerowi, aby posłał po doktora do miasteczka, gdyż stan kilku chorych tego wymaga, kobiety zaś prosiła o dobry nadzór. Wschodami zeszła na dół, gdzie mieściła się sala przeznaczona dla małych dzieci, których matki idąc na robotę tam je zostawiały pod opieką wiejskiej staruszki, aby podczas ich nieobecności nie uległy jakiemu wypadkowi. Całe gronko jasnych i ciemnych główek o różowych buziakach śmiało się, gaworzyło i bawiło doskonale. Przechodząc, Herminia ucałowała ślicznego, trzyletniego chłopczyka, który się do niej wdzięcznie uśmiechnął, w wyciągnięte ku niej rączęta włożyła parę rumianych jabłek, poczem jeszcze oddała jednej dziewczynce koszulkę dla niej uszytą i uczyniła znak krzyża nad kolebką śpiącej dzieciny. Gdy wychodziła z domu schronienia spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem ujrzała, że już pierwsza godzina dochodzi. Zaraz po drugiej jadano zwykle obiad w Tęczowej i na tę godzinę potrzebowała koniecznie być w domu.

— Po obiedzie dopiero będę mogła pójść na probostwo — pomyślała Herminia — a teraz muszę jeszcze zajść do biednej Kowalowej.

Po chwili otwierała nizkie drzwiczki, nędznej chatki, gdzie rozlegało się stukanie młotów, wprowadzanych w ruch przez kowala i jego czeladników. Minąwszy kuźnię weszła do małej, ciemnej izdebki, będącej mieszkaniem ubogiej rodziny. Tam przy ścianie stało jedyne łóżko, na którem leżała teraz sześcioletnia Kazia, chora na gorączkę, przy niej klęczała matka, przemawiająca do niej pieszczotliwie i tuląca do siebie dwoje młodszych chłopaków. Niedostatek widniał tu ze wszystkich kątów, na wygasłym kominie stał garnek z kartoflami i kawałek czarnego chleba, składający całodzienne pożywienie tych ludzi, w izbie było duszno i gorąco.

Na widok wchodzącej Herminii Kowalowa szybko powstała i pochylając się do jej ręki wypowiedziała cały swój smutek z powodu nagłej choroby Kazi i niemożności niesienia jej ratunku. Herminia położyła rękę na głowie małej chorej i widząc, że ma silną gorączkę natychmiast przyłożyła zimną wodę z octem.

— Jak tylko doktor przyjedzie, poproszę go, aby do was wstąpił—rzekła do Kowalowej—tymczasem dajcie jej tych ziółek i okryjcie starannie, a tutaj macie kilka złotych na rosół dla Kazi.

Jeszcze na progu zatrzymała się i zapytała:

— A jakże teraz wasz mąż... nie pije?

— Dzięki Bogu, panienko, odkąd przeczytał tę książkę „O grzechu pijaństwa", co to mu ją dał ksiądz dobrodziej, to ani razu nie był w karczmie i mówił mi, że się tego miesiąca wybiera do spowiedzi.

— Dopomóż Boże! — odrzekła Herminia. — Gdyby to mi się udało — myślała, wracając do domu — wykierować tego Bartka kowala na porządnego człowieka i ojca rodziny, gdyby się już raz poprawił z tego nałogu! Może przy pomocy Boga i poczciwego proboszcza dojdę do celu!

W pół godziny potem Herminia siedziała w swoim pokoju i pilnie przeglądała regestra gospodarskie, gdy turkot kół dał się słyszeć i po chwili wbiegła wesoło powracająca z przejażdżki Wilunia.

— Ah! moja droga, wyobraź sobie, co to dziś było z moim kapeluszem, szkaradny ten wiatr porwał go i uniósł gdzieś daleko, a Jerzy musiał go gonić, złapał wprawdzie, ale mój niebieski woal zupełnie teraz podarty.

To mówiąc rzuciła się na sofkę, śmiejąc się z rannej przygody.

— Okropnie jestem zmęczona, choć odpoczywaliśmy w lasku, a ty daleko byłaś?

— Jak zawsze w szkole, w domu schronienia... miałam jeszcze zajść do proboszcza, ale nie mogłam.

— Dobrze żeś nie była, bo proboszcz jeszcze nie wrócił z odpustu, zakrystyan mówił, że jak wróci, to przyjdzie do nas wieczorem. Ale — mówiła dalej Wilunia, spojrzawszy się w lustro, jak ja wyglądam! Włosy rozrzucone, ubiór w nieładzie, koniecznie muszę poprawić moją tualetę do obiadu, bo przecież Jerzy teraz jest z nami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Piękna żonka, komedya w czterech aktach, Michała Bałuckiego.

Wszystkie utwory zarówno powieściowe jak sceniczne z wybitną dążnością moralną z góry naprzód ułożoną, która dla nadania życia, aby nie stała się nudnem kazaniem, stroi się w lekką szatę intrygi, zwykle bywają... nudne. Nie winą tego istota rzeczy, ale niezręczność autorów, nieumiejących ukryć morału, aby ten nie wyskakując na jaw a rozpływając się w treści, nieznacznie, niepostrzeżenie wywierał na widzu wpływ odpowiedni założeniu autora.

Francuzi mają potrzebną tu zręczność, u nas nie wyrobiła się jeszcze, bo rzecz to pracy i studyi odpowiednich. Dlatego tak mało mamy istotnie zdolnych pisarzy dramatycznych, i tak mało sztuk prawdziwie zajmujących i błyszczących tem życiem jakiem zalecają się utwory francuzkich pisarzy.

Piękna żonka p. M. Bałuckiego jest właśnie jednym z takich. Autor zwrócił uwagę na niepraktyczne wychowanie młodych dziewczek naszych, które zajęte wyłącznie urodą własną, niczem się nie zajmują, wszystkiem się nudzą i jedynie tylko pragną zabaw, uciechy, błyszczenia w świecie z hołdami dla wdzięków jakiemi się zalecają.

Państwo Chwaliszewscy mają córkę Julią, w której straszliwie są rozmiłowani i po części nie bez słuszności. Panienka bowiem urodą świeci przed innemi, śpiewa i gra koncertowo a wierzy mocno, że los wielki w świecie zdobyć powinna. Ale na nieszczęście, brak jej małej rzeczy... posagu, nie mogąc też znaleźć lepszej partyi, wychodzi za młodego doktora, który ślepo zakochany w pięknej żonce, a pragnąc wszystkim jej zachciewkom zadosyć uczynić, żyje nad stan i szybko ku ruinie podąża.

W gospodarstwie też domowem, żona jest niczem, mąż... także niczem, a wszystkiem siostra jego młoda panienka, która jak powiada, jest kucharką, młodszą, piastunką a nawet mamką bo dziecko piastuje i karmi.

Przyszłość więc dla doktora przedstawia się bardzo mroczno, ale zjawia się wujaszek doktora, poważny ziemianin Rembaliński, który rozejrzawszy się w otoczeniu siostrzeńca wprędce poznaje całe położenie i postanawia wszystko do właściwego ładu doprowadzić. Rozumne rady trafiają jakoś do przekonania pięknej żonki, co zwykle w teatrze się dzieje, zrywa stosunki z wielkim światem i wyjeżdża z mężem na prowincyą, obejmującym posadę przez wuja mu wynalezioną.

Wchodzą tam jeszcze hrabiowie i hrabia Kamil, człek ladaco, który całe mienie straciwszy wyszedł na pieczeniarza i bezczelnego cynnika drwiącego z siebie i swej biedy zasłużonej. Na niego także rozumne słowa Rembalińskiego zbawiennie oddziaływują, którym przyznawszy słuszność postanawia zerwać z dotychczasowem próżniactwem i zostać praktykantem agronomicznym w dobrach tegoż zacnego ziemianina.

Z treści tej jak widzimy, intrygi, owej tajemniczości, zaciekawienia, przykuwających widza do sceny, nie ma zupełnie: jest to nie komedya tylko obraz z talentem napisany ale... dość nudny i na cztery akty rozwałkowany.

Komiki tu także bardzo mało, gdyż wprowadzeni hrabiostwo Gapiszewscy nieprawdopodobni, przesadzeni wyglądają na prawdziwe karykatury zbliżone prawie do idyotyzmu.

Artyści o ile mogli starali się z zadania swego wywiązać jak najlepiej, co istotnie zasługuje na uznanie i takowe chętnie przyznajemy pannom: Wisnowskiej i Czaki, a panom: Szymanowskiemu, Wolskiemu, Prażmowskiemu, Grzywińskiemu i Ładnowskiemu.

WIADOMOŚCI.

Miłośnicy talentu p. Elizy Orzeszkowéj, obchodzili w zeszłym tygodniu w Petersburgu, w dniu jej imienin dwudziestoletnią rocznicę działalności pisarskiej, tej wielce utalentowanej powieściarki.— Nie miejsce tu na rozbiór obszerny prac jej w tym zakresie czasu dokonanych, a jakkolwiek i ktokolwiek o nich sądzić będzie, nikt nie odmówi solenizantce gorącéj miłości rodzimej społeczności i wierności idei raz poślubionej.

Jest nią głównie kwestya żydowska w przeciwnym kierunku Roli rozwijana: o ile p. Jeleński bezwględnie ją traktuje bez możności pomyślnego jej rozwiązania, o tyle pani Orzeszkowa wierzy, że lud Izraela uspołeczni się, i zostanie duszą i sercem synem ziemi, którą zamieszkuje.

Przy kim tu prawda, trudno twierdzić, wiadomem jest tylko, że czem byli żydzi wyszedłszy ze swej ojczyzny i jakiemi przybyli do nas, takiemi bez żadnej zmiany pozostali dotąd. — Wyzysk wszystkiego był i jest dla nich przewodnią gwiazdą, w którą zapatrzeni nie gardzą żadnym środkiem, choćby najniegodziwszym byle do ubogacenia prowadzącym.

Zdarzają się niby wyjątki, ale tak rzadkie, tak pojedyncze, że i mówić o nich niewarto, a i te kto wie czy nie więcej rozumowi ulegają jak względom z pobudek moralnych wypływającym.

Niegdyś ludowi temu wychodzącemu z Jerozolimy powiedziano: że mając wrócić znów do ojczystego gniazda, nie powinien nigdzie osiadać na roli, ani zagnieżdżać się na stałą siedzibę, tylko żyć, zarabiać i czekać hasła do powrotu.—Był też i jest wszędzie tylko gościem, tułaczem, wiecznym podróżnikiem, węszącym zarobek jak wyżeł dzikiego zwierza, a tylko tam przenaturzonym gdzie go srogie prześladowania długie lata trapiły. U nas na nieszczęście opieką otoczony, pozostał bez żadnej zmiany sam sobą i na ciele miejscowej społeczności utworzył jakby gangrenowatą narośl, która ją wysysa, wycieńcza i nieraz potrąca wzgardliwie, a przyjaźnie uśmiecha się tylko w widokach uśpienia obudzonej czujności i zdobycia nowych środków do wyzysku. I nie jest to głos nienawiści ale prawdy na doświadczeniu i głębokiem rozważaniu opartej.—Czujemy ją wszyscy i ubolewamy, czy zaś stan ten rzeczy zmieni się, wątpić należy.

Co przez pięć wieków najmniejszej nie uległo zmianie, i tylko uznało dopiero potrzebę przyjęcia innej maski, odpowiedniej potrzebie chwili, to aby zmieniło się z gruntu, w pojęciach, w dążnościach, pragnieniach, w zasadach, potrzebuje już nie kilku na to wieków, ale miliardów ich i to bez żadnej przesady.

Za długa to próba cierpliwości, najlepszym przeto i najradykalniejszym środkiem rozwiązania kwestyi żydowskiej, jest przesiedlenie ich wszystkich do Jerozolimy.—Niech zbiorą manatki i idą tam z Bogiem, a z pewnością westchnień tęsknoty nikt za nimi nie pośle.—Tam dopiero nauczą się może żyć jak ludzie po ludzku, a nie jak pijawki wysysające ciało społeczne we wszystkich punktach jakich się dotkną.

Uwagi te jednak nie umniejszają w niczem zasług pani Orzeszkowej jakie położyła w ojczystej literaturze.—Pomijając przy kim słuszność, w sprawie tak ważnéj, utalentowana pisarka dała nam poznać lud w pośród nas żyjący, ze strony zupełnie nam nieznanej.—Zasługa to wielka, umiemy ją cenić, ale i żałować zarazem, że to co pod jej piórem tak pięknie wychodzi, w rzeczywistości... tak się wstrętnie przedstawia.

O pracowni bakteryologicznej d-ra Bujwida w naszem mieście, a raczej o uzdolnieniu tego lekarza do szczepienia pokąsanych przez wściekłe zwierzęta osób, wyraził w tych dniach zarówno Pasteur, jak i główny jego asystent d r Grancher, jak najpochlebniej. Oświadczenie to uczynił Pasteur z powodu przywiezienia mu przez d-ra Benniego z Warszawy czterech pokąsanych chłopców, wysłanych do Paryża przez zarząd fabryki stali na Pradze jako przez psa fabrycznego okaleczonych. Mianowicie Pauster zdziwił się, iż przywieziono tych chłopców do Paryża, tem więcéj, że przed wyjazdem dokonano im już jednego zastrzyknięcia w tutejszej pracowni d-ra Bujwida. Towarzyszący pokąsanym d r Benni usprawiedliwił ten krok szczególną dbałością zarządu fabryki o pokąsanych, a Pasteur zapewnił, iż uczeń jego, d-r Oto Bujwid, jest jak najdokładniej obeznanym z metodą szczepienia wścieklizny. Wobec tego wszelkie kosztowne podróże do Paryża winnyby stanowczo być zaniechane, a cały kontyngens krajowych chorych powinien się zwrócić wprost do pracowni d ra Bujwida w Warszawie.

Uprzejme zaproszenie. Wszyscy prawie właściciele hoteli wrocławskich, umieścili w „Kaliszaninie" anons, w którym usiłują przekonać naszą publiczność, że wszystkie pogłoski o przykrościach, jakie policya pruska wyrządza gościom przybywającym z Królestwa, są poprostu zmyślone i nieprawdziwe i żaden z przyjeżdżających bądź we Wrocławiu, bądź na granicy nie doznał żadnych trudności ze względu na swoją „obcokrajowość".

Że tym panom zależy na tem, aby goście z Królestwa nie omijali Wrocławia, to łatwo można zrozumiéć, ale że zapewnienia ich nie mają żadnej podstawy, to także wiadomo.

Cały szereg faktów przekonywa, że policya pruska prześladuje najspokojniejszych ludzi, przejeżdżających za legalnemi paszportami, że nie zważa ani na płeć, ani na wiek, ani na stan zdrowia, lecz ruguje natychmiast każdego, kto ośmieli się stanąć na pruskiem terytoryum.

O przyjaźni tej niemieckiej książę Meszczerski w odpowiedzi na list z Berlina, pomieszczony w Grażdaninie, rozpisał się obszernie i bardzo zasadnie.

„Pozostawiam, powiada książę, na stronie narody i ich rządy. Proszę tylko pozwolić mi, że wypowiem co czuję i myślę i wybaczyć zupełną otwartość. Nienawidziłbym was (Niemców) z całej duszy i ze wszystkich sił moich i nienawidziłbym rozumie się z całą świadomością, bo nie mogę nie widzieć i nie szanować w was tej prawdziwej sztuki wytrwałości z jakiemi wszystko prowadzicie do jednego ostatecznego celu waszego, którym jest nasza zagłada. Był czas, kiedy istotnie kłóciłem się z naszymi niemcożercami i marzyłem o pokoju z niemcami jako o warunku istnienia mojej ojczyzny. Byłem młody, zaślepiony!... Minęły lata, minęła młodość i przyszło zastanowienie. Nie przestałem wielbić waszych porządków państwowych, ale zacząłem was nienawidzieć za wszystko co dostrzegłem i co zrozumiałem jasno!... Zrozumiałem, że cała ta siła wojennego i państwowego uzbrojenia, cały ustrój życia waszego państwa prawidłowy i akuratny, jak mechanizm dobrego zegarka, że całe wasze dążenie do doskonałości, jako narodu i państwa, przeniknięte są i ożywione jedną myślą, jakby nas krzywdzić, sobie pożytku przyczyniając. I teraz, widząc aż nadto jasno jak dalece pod osłoną pokoju i przyjaźni z nami, wdziliście się i wpili w życie nasze, jaką krzywdę mu przynosicie, wybaczcie, kochając ojczyznę nie mogę odpowiedzieć sobie na pytanie co praktyczniejsze, czy pokój z wami paraliżujący wszystkie nasze porusze nia, czy wojna z wami, która kładzie kres tym straszliwym podziemnym rządom Berlina w rozlicznych arteryach naszego życia i kto wie może kładzie ten kres raz na zawsze.

„Więcej powiem. Jestem najmocniej przekonany, że niechajby nawet wojna skończyła się niepomyślnie dla nas, to i tak wygralibyśmy ogromnie kwita bowiem z przyjaźni, wszyscy przejrzeliby i rozpoczęli nowe życie czysto rossyjskiego sposobu myślenia i działania. Sto razy lepsze to, aniżeli dzisiejszy stan rzeczy. Sto razy więcej mielibyśmy sił, sto razy więcej korzyści niż dzisiaj.

„A w razie zwycięztwa nad wami? Kto wie, z patryotycznego punktu widzenia, czy zwycięztwo byłoby nawet tak pożądane dla szczęścia mej ojczyzny jak porażka. Zwycięztwo wprowadziłoby politykę naszą na grunt delikatności i wspaniałomyślności i to cobyśmy wygrali przez traktat w ziemi lub w pieniądzach, stracilibyśmy z ogromnym procentem w nowym zakresie przyjaźni z wami, ozdobionej długiem wspaniałomyślności. W każdym zaś razie, niemożnaby wtedy spodziewać się zwrotu w polityce naszej względem was.

„Czyż powiecie, że to nie prawda?

„Powiedziałem warunkowo, że nienawidziłbym... są zatem przyczyny dla których nienawiść ta w rzeczywistości nie istnieje.

„Tak jest w samej rzeczy. Mam oto przekonanie, że jeżeli z jednej strony głównym waszym celem jest krzywda nasza, z drugiej, wy, to jest wasze państwo jest ową olbrzymią dźwignią dziejową, która w niedalekiej przyszłości powinna rozbudzić nas, postawić na nogi i z dobrodusznego niedźwiedzia — uczynić naród silny, potężny, przez Boga dla wielkich celów duchowych stworzony, położyć koniec Rossyi drżącej przed Europą gorzej niż przed Bogiem swoim i sumieniem.

„Olbrzymia krzywda jaką nam przynosicie swoją przyjaźnią i sztuczne środki, któremi podtrzymujecie pokój z nami i dla nas, zawsze doprowadzą w końcu do wojny, a wojna zerwie przyjaźń waszą tak zgubną dla nas i położy koniec rujnującemu nas pokojowi.

„I dlatego nie mogę was nienawidzieć; z niechęcią tylko i dziwnym jakimś patryotycznym zabobonem witam w was wroga, który w chwili najwyżej podnieconej nienawiści, stanie się dla nas, z woli Opatrzności, aniołem wybawicielem i geniuszem odrodzenia naszej potęgi narodowej.

„Jako sprzymierzeńca i przyjaciela, doświadczyliśmy was, siły waszej i krzywdy dla rozwoju naszego państwa. Od chwili kiedy słowo „Prusy" stało się terminem mającym znaczenie w Europie, aż do dnia dzisiejszego nie wskażecie mi ani jednego faktu, ani jednego dnia przyjaźni, w którym nie wypadło się gorzko uśmiechnąć rozpatrując się, jak ta przyjaźń wasza w rzeczywistości wygląda. Zawsze i wszędzie byliście pokojowymi wrogami Rossyi i z waszego punktu widzenia mieliście słuszność.

„A teraz, po tem serdecznie szczerem wyznaniu rozumiecie, że wolę klęskę wojny, bodaj natychmiastowej, aniżeli... odkładanej."

Projektów nowych znowu kilka powstało.—W roku przyszłym ma być urządzona wystawa muzeum czeskiego z pomieszczeniem w niem wszystkiego co

tylko pobratymcy nasi zdobyli na polu nauki, sztuki handlu, przemysłu i rolnictwa.

Gotuje się także zawiązanie stowarzyszenia łyżwiarzy oddzielnie rybaków i myśliwych.

Pani Rościszewska ofiarowała pewną kwotę na restauracyą grobów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w Płocku.

Na strychu w katedrze Płockiej, znaleziono starożytną koronkę brabancką ocenioną przez znawców na 4,000 rs. Jedna z miejscowych dam podjęła się reperacyi tego antyku podziurawionego ręką czasu. Koronka ma być sprzedana celem zebrania funduszu na odnowę świątyni której oddawna na gwałt się domaga.

Zeszłego tygodnia trzej członkowie stowarzyszenia cyklistów o godzinie 7-ej zrana wyruszyli na bicyklach do Płocka.

Dwudziestomilową przestrzeń sportsmani przebyli w godzin 13, z powodu bowiem wichru dmącego przez całą niemal drogę w oczy jeźdźców, szybsza jazda była niemożliwą.

Po przenocowaniu u celu podróży, cykliści na drugi dzień wyruszyli rano i przybyli do Warszawy około godziny 8-ej wieczorem.

Tym sposobem w ciągu półtorej doby przebyto mil 40, włączając odpoczynek.

Cykliści narzekają na dzikość mieszkańców Płońska, którzy w zwolennikach sportu upatrywali „antychrystów, a co najmniej... pajaców.

W pewnej tutejszej instytucyi finansowej, pracownicy ofiarowali swemu szefowi na imieniny parasol.

Zdawałoby się, iż na zbiorowy podarunek od 30 osób, jest to przedmiot zbyt skromny, a jednak ów parasol kosztował w Wiedniu 340 złr.

Pomijając nadzwyczajny gatunek materyi, wszystkie pręty są w ogniu grubo pozłacane, a rączka parasola jest szczerozłotą i ozdobioną ametystami.

Był to bardzo niefortunny pomysł, a dar choć tak kosztowny nieużyteczny i kłopotliwy. Solenizant też tak go oceniwszy, uprosił ofiarodawców, aby choć ze stratą spieniężyli go i funduszem już nie na jego korzość użyteczniej rozporządzili.

ROZMAITOŚCI.

Z dworu bawarskiego.

„Gazeta Kolońska“ zamieszcza od pewnego czasu opowiadania o nieszczęśliwym królu Ludwiku bawarskim. Podajemy je poniżej w streszczeniu.

Król, powiada korespondent wtajemniczony w szczegóły życia zmarłego, król nie będąc smakoszem, lecz żarłokiem—pochłaniał nieraz całe półmiski potraw, a z tych najulubieńsze mu były jaja z szynką—pił stosunkowo bardzo mało wina, pragnienie zaś gasił tureckim sorbetem. Kiedy jednak zdecydował się przyjąć gości, zwykle o godzinie 9½ wieczorem, to nim do nich wyszedł, wypijał kilka butelek wina szampańskiego i dużo koniaku. To go cudownie orzeźwiało na parę godzin, był niezmiernie uprzejmym i dowcipny w rozmowie; dopiero po opuszczeniu gości doznawał, jak pijany, takiego zawrotu głowy, że o własnej sile nie mógł się utrzymać na nogach. Później nie chcąc sobie zadawać przymusu, wyszukiwał i spraszał sobie gości z coraz niższych warstw społecznych i żadnej z nimi nie robił ceremonii. W niedzielę i święta nosił koszule haftowane, w dni powszednie tylko gładkie. Dni pamiątkowe Burbonów obchodził uroczyście, nosił wtedy koszule z kołnierzykami, na których były wyhaftowane lilie burbońskie, a guziki i spinki z liliami. W pokoju sypialnym w Lindenhofie kazał ułożyć na środku podłogi mozaikę z lilii i przestrzegał, aby to miejsce z uszanowaniem omijano. Jeden z lokajów za nieuważne stąpienie na ową mozaikę, został natychmiast wypędzony ze służby. Stawiał też Burbonom pomniki, poświęcił im wiele pięknych drzew, przed któremi, przechodząc zdejmował z głowy kapelusz. Jeżeli czegobądź zapragnął, musiał to mieć jak najprędzej; dziecinna niecierpliwość króla wzrastała z wiekiem. Nieraz w nocy, wśród straszliwej burzy posyłał do Monachium po jakąś książkę lub rysunek architektoniczny: kuryery musieli pędzić na złamanie karku, padały pod nimi konie wartujące po 3,000 marek. Ztąd przedmioty, które w kilka godzin albo w parę dni później można było mieć za 50 marek, kosztowały nieraz 5,000 marek. Niecierpliwość króla stała się powodem, że zamek Chiemsee budowany pośpiesznie, dziś już grozi ruiną. Zachciało się raz królowi wyprawić w tym zamku wielki festyn w stylu Ludwika XIV, polecił więc, aby na oznaczony dzień i godzinę był dla niego gotowy okręt na jeziorze, aby zamek miał wygląd starożytny, był ubrany bluszczem, aby drzewa zasłaniały całkiem widok na jezioro, aby urządzono klomby francuzkie i aleje i ustawiono w różnych punktach posągi bronzowe. Dla zadowolenia króla i sprawienia mu chwilowej iluzyi, zwożono specyalnemi pociągami mech, powój i rośliny pnące, krzewy i drzewa w ogromnych skrzyniach, które zakopywano w ziemię i ustawiano w klomby i aleje, figury woskowe pomalowano na kolor bronzu, wreszcie stanął na kotwicy fałszywy okręt, sklecony z cienkich desek i tektury. Król bał się już wtedy wody, więc tylko zdaleka przypatrywał się okrętowi; za to wziąwszy do ręki jeden z posągów, poznał fałszerstwo. To mu popsuło humor i apetyt, a gdy w dodatku stół zastawiony potrawami niedość zręcznie wyskoczył z pod podłogi dla wadliwego mechanizmu, król rozgniewał się na dobre i do uczty wcale nie zasiadł. Fantastyczny obraz, urządzony przez usłużnych dworaków, nie sprawił spodziewanego efektu, a kosztował bajeczne sumy.

Król lubił namietnie jazdę sanną, i z Hohenschwangau odbywał nocami kilkodzinne spacery w zakrytych i artystycznie rzeźbionych saniach. Natomiast w Lindenhofie musiano dla niego utrzymywać nieustanne lato. W tym celu w porze zimowej na dwie mile w około zgarniano starannie śnieg, drogi i pola posypywano żwirem lub piaskiem, otrząsano śnieg z drzew i krzaków, ogrzewano wszystkie groty, łamano i uprzątano lody z sadzawki. Aby było zachowane złudzenie, 80—100 ludzi dniem i nocą pracowało tam przez całą zimę... Pewnej nocy król niespodzianie wydał rozkaz, aby się gotowano w podróż do Falkenstein. Nie było to na rękę dworakom, zmyślono więc na prędce bajeczkę, że z magazynu w Falkensteinie niewiadomi złoczyńcy skradli 100 centnarów (!) dynamitu, przeznaczonego do rozsadzania skał, i przygotowują na króla jakąś zasadzkę. Od tej chwili nie było już mowy o podróży. Dziwny, nieprzezwyciężony wstręt król okazywał zawsze do broni palnej, i nigdy w życiu nie dał ani jednego strzału. Strzelanie i wszystko, co z niem miało jakikolwiek związek, uważał za rzecz „gminną,“ a rzeczy „gminnych“ jak najstaranniej unikał. Gminnym był też dla niego każdy inny sposób oświetlania, prócz świecami woskowemi. Ztąd na świece woskowe wydawano olbrzymie sumy. Niejednej nocy zapalano w Chiemsee 8,000, w Hohenschwangau 5,000 świec, a że noce królewskie trwały czasem 18 godzin, więc jednorazowe oświetlenie kosztowało 5—6,000 marek. Także i pieniądze w ścisłem znaczeniu tego słowa, były dla króla rzeczą gminną.

Nigdy i nikomu nie dawał upominku w pieniądzach. Zarówno artyści jak i parobcy stajenni, jeżli się podobali królowi, otrzymywali od niego złote zegarki, brylantowe spinki, różnego rodzaju kosztowności. Za każdy dar, choćby cygaro, trzeba było dziękować królowi na piśmie, a pierwej prosić i otrzymać na to pozwolenie. Marnotrawstwo króla i niepamięć na własną godność doszły w końcu do tego stopnia, że prostym żołnierzom (szwoleżerom) rozdawał prezenta wartujące po kilka tysięcy marek, klejnoty ze swym herbem, kazał nosić bieliznę i guziki z monogramem swego imienia splecionym z imieniem ulubieńca. Wprawdzie bardzo często łaska królewska zamieniała się w jednej chwili w niełaskę i nienawiść; żołnierzowi, z którym jednej nocy biesiadował, król nagle kazał zedrzéć mundur i zamknąć w wieży więziennej. Odtrąconych ulubieńców odsyłano zwykle na powrót do pułku.

Król Ludwik przeczytał w swojem życiu niezliczoną ilość książek, zwłaszcza z epoki odnoszącej się do ostatnich Burbonów; nie było żadnej książki francuzkiej, którejby nie przeczytał. Polecenie kupna książek wydawał zawsze na piśmie. Pismo to jednak było tak nieporządne, litery duże i małe, tak chaotycznie z sobą poplątane, krzywe i nierówne, że nieraz najwprawniejsi w tem dworacy nie mogli go przesylabizować. Sługy królewscy od wielu lat przewidywali samobójstwo, gdyż król wcale się nie krył z zamiarem odebrania sobie życia. Jeden z najbardziej przez króla udręczonych, a mimo to szczerze do niego przywiązany kamerdyner Mayer, powiedział sprawozdawcy „Gazety Kolońskiej“: „Chociażby król nie był skoczył do jeziora Starnberskiego, zawsze nie byłby umarł naturalną śmiercią; każdego dnia obawialiśmy się tego rodzaju katastrofy.“

Z dziedziny humorystycznej.

Humorystyka to jak stary kawaler, szczególniej małżeństwo obrabia w różne esy i floresy.

Niedawno para narzeczonych rozmawiała w wigilią ślubu o swej przyszłości.

— Zamiast za granicę, moja najdroższa — powiada pan młody — zaraz po ślubie pojedziemy na wieś.

— Dobrze, kiedy sobie tego życzysz — odpowiedziała potulnie panna młoda.

— Zamiast zaś kosztownego wesela i natłoku gości życzyłbym sobie tylko nielicznego zebrania rodzinnego i skromnego bardzo zwyczajnego przyjęcia.

— Chętnie się na to zgadzam, kiedy tak chcesz.

Obecna rozmowie matka narzeczonej, trąca ją nieznacznie i szepcze:

— Matyldko, co robisz, nie przyzwyczajaj odrazu przyszłego męża twego do takiej uległości!

— Bądź mama spokojną — odpowiada na to córeczka, on dyktuje teraz tylko ostatnią swoją wolę.

* * *

Młoda wdówka, po rocznem, pełnem rozpaczy wdowieństwie, przyjmuje życzliwie młodego aspiranta do swej posażnej rączki i przyrzeka mu związek małżeński.

Przyjaciołka oburzona zabraniem młodzieńca do którego się słodko uśmiechała, czyni wdówce gorzkie wymówki, jak mogła tak prędko zdecydować się po nieodżałowanej stracie? Choćby dla samej przyzwoitości, dodaje w końcu.

— Masz słuszność — odpowiada z głębokiem westchniem skruszona wdówka z oczkami wstydliwie ku ziemi zwróconemi — masz słuszność, moja droga, na drugi raz poprawię się niezawodnie i będę uważniejszą.

* * *

W pewnej winiarni dwóch starych przyjaciół, przy kieliszku zabawia się rozmową.

— Oh! tak — odzywa się Hilary — ja tak kochałem swoją żonę, że myślałem... iż ją zjem.

— Hm! — mruczy Bonuś stary kawaler i pyta szyderczo — a teraz?

— Teraz... no... tak mówiąc między nami — odpowiada Hilary, głos przyciszając, to żałuję żem tego nie uczynił.

* * *

— Moja duszko — mówi mąż do swej żony — nieznośnemi swemi nerwami do rozpaczy mnie doprowadzasz. Już miałaś lekarza aleopatycznego, homeopatycznego i hydropatycznego i żadnej ulgi nie doznałaś. Cóż dalej robić?

— Sprobuję jeszcze sympatycznego — odpowiada żonka z głębokiem westchnieniem — może ten skuteczniej mi poradzi.

* * *

— Nic nam nie pozostaje, moja najdroższa żono — woła zrozpaczony małżonek niepowodzeniem, jak wspólna śmierć. Weź ten pistolet...

— Dobrze, mój jedyny — odpowiada żona drżącym od boleści głosem. — Naprzód ja cię zastrzelę a później ty mnie.

* * *

Na egzaminie z historyi, pyta się nauczyciel: jak się zwała królowa assyryjska, która budowała w Babilonie wiszące ogrody, policzone później do cudów świata?

Uczeń nic nie odpowiada, tylko kręci guzik palcami.

— Namyśl się — odzywa się nauczyciel i podpowiadając szepcze: — Sem...

Uczeń przerzuca ku sufitowi spojrzenie ale milczy uporczywie.

— No, śmiało... Sem... Sem...

— Sem, Cham i Jafet — odpowiada wreszcie głośno uczeń i zdziwiony ogląda się dokoła, spoglądając gapiowato na śmiejących się.

— Teraz powiedz mi z gramatyki, np. koń ciągnie, jak będzie w formie rozkazującej?

— W formie rozkazującej? — powtarza uczeń i coś szepcze sam do siebie.

— No, tak, w formie rozkazującej jak się zapytałem.

— To będzie... to będzie, wio! wio! heta ho!

Przy egzaminie z arytmetyki, pyta nauczyciel:

— Z ilu jednostek składa się dziesiątka?

— Z dziesięciu — odpowiada uczeń z pewnością siebie.

— Policz mi więc do dwudziestu, zaczynając od jedności.

— Jeden, dwa, trzy — zaczyna uczeń liczyć i trzepie dalej bezmyślnie — dziewięć, dziesięć, walet, dama, król, as, wielka korona...

Przystąpiono następnie do nauki religii.

— Wiele jest grzechów głównych? — zapytuje egzaminujący.

— Ośm — odpowiada zapytany.

— Źle, następujący.

— Sześć!

— Źle, następujący.

— Pięć!

— Kto odpowie na to pytanie? — zapytuje wreszcie egzaminujący, zwracając się do całej gromadki młodzieży.

— Ja od... od... odpowiem — odzywa się jeden z najdalszego kąta, zawsze obdarzany palkami przy wydawaniu lekcyi i straszliwie się jąkający.

— Powiedz więc, ile jest grzechów głównych?

— Sie... sie... siedm — odpowiada uczeń.

— Bardzo dobrze — potwierdza pytający i zwracając się do wszystkich mówi dalej: — otóż ten co go najgorzyj uważacie pod względem pilności, zawstydził was trafną odpowiedzią, której od was nie mogłem uzyskać. A teraz wymień mi koleją które to są grzechy główne?

Uczeń przymyka oczy, palec lewej ręki ściska dłonią prawej, otwiera usta ale z tych wybiega tylko syczenie.

— Uspokój się kochanku — mówi egzaminujący — ośmiel się i mów bez obawy.

Uczeń oddycha całą piersią, policzki mu drgają, czerwienią się, brwi ściągają, oczy mrużą i wreszcie zaczyna z sykiem pary wydobywającej się z uwięzi:

— Sss... sty... styczeń... lu... lu... luty, ma... ma...

Co z tego wynikło łatwo się domyśléć.

* * *

W Kuryerze świątecznym pomieszczono list pewnej panienki z pensyi do matki napisany, godny powtórzenia:

Kochana mamau!

Donoszę ci, że wszystkie panny już są z pensyi rozpuszczone wienc i ja tysz jestem rozpuszczona i proszę przysłać konie na drogę w garku masła i chlip żeby Maciek powoził.

Twoja Curka Genofewa.

Ps. Przypisków rzadnych wiency nie robie żeby list mniej warzył.

OD REDAKCYI.

Tom czwarty seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

SIELANKI SZLACHECKIE.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 31 wyszedł z druku i zawiera:

Kilka rysów z dziejów Francyi.—Wiosna (wiersz). Książę i biedak. — Scieżyna w Karpatach (drzeworyt). — Jan bez trwogi (z drzeworytem). — Żaba płowa (z drzeworytem). —Kapitan Ferragus.— Z nauki. Dodatek: Wszędzie dobrze, w domu najlepiej. — Stolik (wiersz). — Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworytem). — Męczygłówka (wiersz). — Lekarstwo. —Prawda (wiersz). —Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 31.

N. 1. Ubranie ranne formą princesse. Krój podług formy do ryc. 24 i 26 w N. 28 Tygodnika mód.

Suknia z batystu białego w paski, odrobiona podług luźnej formy princesse, ozdobiona była wstawkami i szlaczkami haftowanemi, zakładkami i kokardami z kolorowej wstążki. U dołu dopełniona jest szeroką, przemarszczoną falbaną z nagłówkiem, a przody otwarte, nadpuszczone są w górze w formie karczka, schodzącego się na środku; do karczka od spodu przyszyty jest plastron marszczony, zapinany z lewego boku. Rękawy pół długie, kieszonki ozdobione klapkami w ząb wyciętemi, wyniniętemi na kokardę z kolorowej wstążki.

N. 2. Ubranie domowe z długą draperyą.

Ryc. 2 przedstawia suknię z tak dziś modnego fularu lub perkalu, w małe albo większe centki, wyrabianego w różnych, rozmaicie dobieranych kolorach, najmodniejszego jednak w centki białe albo szafirowe, na tle czarnem albo ciemno bordo. Długą, fałdzistą draperyę podpina się z przodu i z boków dużemi rozetami z czarnej aksamitki. Część spódnicy widoczną z pod draperyi, pokrywa szeroki, plisowany wolant. Stanik z tyłu zakończony przedłużoną, plisowaną baskiną.

N. 3. Sukienka bluzkowa, dla małej dziewczynki.

Sukienkę z ciemno ponsowego, szwajcarskiego perkalu zdobił haft szafirowy. Stanik długi bluzkowy, marszczony z przodu i z tyłu, wszyty jest w długi, w kontrafałdy złożony, w ząb wycięty karczek, ozdobiony szlaczkami, haftowanemi. Spódniczkę stanowi szeroki wolant haftowany, z pod którego wygląda biała koronkowa plisowana falbanka. Rękawy szerokie, przemarszczane w górze i przy ręku.

N. 4. Kapelusz okrągły, słomkowy.

Pomiędzy główkę i rondko podszyte ponsowym aksamitem, przecięte z przodu i z tyłu, wsunięta jest 10 cent. szeroka, paliowa wstążka *serge*, spuszczona z tyłu w dwa końce, 70 cent. długie. Przód kapelusza ubrany pękiem piór paliowych i puklami ze wstążki i ze skosów ponsowego aksamitu.

N. 4. Kapelusz biały koronkowy ogrodowy, ubrany różową wstążką z pikotami i bukietem róż.

N. 5. Kapelusz spacerowy, albo do morskich kąpieli, pleciony z sitowia, ubrany był kokardami z ażurowej, słomkowej plecionki, i bukietem z różnych traw zasuszonych.

N. 7 i 27. Kapelusz słomkowy, ubrany haftowaną koronką 10 cent. szeroka gazowa koronka, ozdobiona haftem naśladującem stary haft złoty, lekko nadmarszczona i przypięta szpileczkami z pereł, pokrywa rondo kapelusza z złotawo bronzowej słomki z przodu w ząb szpiczasty zagięte. Ubranie kapelusza stanowią dwie rozety z koronki, przypięte z przodu na główce i kokardy z atłasowej, 4 c. szerokiej wstążki, w kolorze starego złota.

N. 10. Firanki z grosbotowego tiulu, ozdobione haftem krzyżowym. Deseń do szlaku N. 6, na dodatku z krojami i deseniami do N. 31 i 32 Tygodnika mód. Deseń rzuciku na fig. 38.

Na deseniu N. 6. dajemy część szlaku do roboty krzyżowej, i zarazem wskazujemy jaki tiul, musi być obrócony, ażeby krzyżyki nie przedłużały się, tylko były kwadratowe. Na fig. 38 dana jest $^1/_4$ część deseniu, na rzucik rozsiany na tle firanki, tak szerokiej jak tiul, krzyżyki jednak robi się wzdłuż. Brzegi firanki wydziergane są w ząbki zastosowane do deseniu i wycięte. Story z materyi kolorowej, deseniowej.

N. 11. Siatka kolorowa gipiurowa, na szlak do serwet, kap, poduszek i t. p. Deseń na ryc. 34 w N. 32.

Na kolorowej, jedwabnej, siatce gipiurowej deseń ceruje się pełą lub rozdzielaną filozelą w stosownie dobranych kolorach. Każden odpowiedniej szerokości deseń krzyżowy, przeznaczony do haftu na płótnie, służyć może do wyszycia na siatce, a obliczanie oczek i rodzaje ściegów wskazuje ryc. 11.

N. 12—14. Książka do spisywania bielizny. Ozdobiona malowaniem i haftem.

Okładki książki mającej 13 cent. szerokości, a $17^1/_2$ wysokości, oprawne są w mocną, żółtawą materyę, przerabianą w drobną kratkę, nitką złotą. Zwierzchnią stronę okładki zdobi malowanie i haft, do którego deseń w naturalnej wielkości, dajemy na ryc. 12. Kratę, kwiaty, gałązki i motyla, trzeba najpierw podmalować farbami, a następnie wyszyć kontury i żyłki, sznelą, sznureczkiem metalowym i perełkami. Do malowania użyta była farba blado czerwona, niebieska, żółta i brunatna, do których dobiera się kolory szneli. Sznureczek i perełki, mogą być złote, srebrne, albo stalowe.

N. 15. Kołnierzyk z perełek.

Kołnierzyk stojący stanowi torsada $4^1/_2$ cent. szeroka a 38 cent. długa zrobiona z perełek bronzowego koloru, podszyta wstążką bronzową ottoman, 6 cent. szeroką, zapiętą z tyłu na haftki. Do dołu przyczepione są wisiadła w kształcie listków zrobione z paciorków małych i większych, z których środkowe mają 7 cent. długości, a skracają się stopniowo do $4^1/_2$ cent.

N. 16. Krawatka krepowa.

26 cent. szeroki kawałek różowej krepy, wyszyty w prążki ciemkim jedwabiem, sfałdowany wzdłuż do 6 cent. szerokości, stanowi krawatkę ściśle otaczającą szyję, a zakończona z przodu kokardą z dwóch pukli 6 cent. długich.

N. 19—20. Staniczki trykotowe.

Praktyczne i dogodne staniki trykotowe ciągle są lubione i niewychodzą z mody. Ryc. 19 przedstawia stanik piaskowego koloru, którego przody na ranwers wywinięte, dopełnia żabot bufiasty, ułożony w fałdy schodzące się do środka, z kawałka materyi surah 32 cent. szerokiego, na gładkiej podszewce mającej 9 cent. górnej, a 8 dolnej szerokości. Model do ryc. 20 odrobiony był z trykotu w dwóch kolorach; stanik zapięty poniżej ranwersów, na dwa rzędy guzików był z czarnego, a kamizelka i kołnierz stojący z ciemno ponsowego trykotu.

N. 21 i ryc. 19 w N. 32. Stanik bluzkowy z plastronem z haftowanego tiulu.

Stanik bluzkowy obciśnięty szerokim pasem, strojnie zdobi plastron i kołnierz aksamitny albo atłasowy, pokryty tiulem koronkowym *dentelle de Saxe* na którym tło deseniu wyszyte jest bajorkiem kolorowym, a kontury obwiedzione nowym rodzajem sznureczka, zwanego *bouillon colorié* który kręcony jest z jedwabiu w obranym kolorze i z takiego jak jedwab metalowego bajorku. Na ryc. 19 w N. 32, dana jest próbka takiego tiulu, w naturalnej wielkości.

N. 22. Suknia z fartuszkową draperyą. Krój na dodatku N. IX fig. 35.

Model do ryc. 22 odrobiony był z gustownie połączonego materyału gładkiego i w kratę; spodnica z materyi w kratę różno kolorową na tle *écru* a stanik i draperya z materyału *foulé* ciemno szafirowego gładkiego, który jednak zastąpić może dwojaki zefir, perkal, lubt. p. materyał letni. Bryt boczny pokrywający aż do góry, lewy bok podszewkowej spódnicy, mający 105 cent. szerokości, sfałdowany jest w górze do 13 cent. podszyty listewką i przypinany na baskinie stanika na haftki patentowane. Na takież haftki przypinana jest na spódnicy draperya, której mały model i miary, dajemy na fig. 35. Górny brzeg draperyi w miejscu wskazanem liczbą 168 i podwójną linijką, przecina się na 24 cent. długości, podwija do spodu, od 72 do 144, fałduje się podług znaków i przypina na spódnicy, od 114 do 138, zostawia się luźno; dalej z prawego boku na biodrze, zaszywa w fałdę przy 168, a resztę aż do końca, wszywa gładko w pasek. Na koniec trzeba lewy, boczny brzeg draperyi, od 1 do 70 sfałdować podług znaków i przypiąć na haftkę, a pozostałą część boczną i pozostałą część górną od 1 do 72, przyczepić po brzegach bocznego brytu spódnicy. Przy staniku z krótką baskiną skośnie zapinanym, klapę na wierzch zachodzącą kraje się razem z prawą połową przodu, a lewą pod spód podchodzącą w górze część przodu, u dołu zapina się na dwa guziki, z wierzchu na skośnym brzegu prawej części. U dołu z pod przodów, wyglądają wązkie części kamizelkowe, z materyału w kratę, z którego dana także 3 cent. szeroka wypustka przy górnym brzegu klapy i 1 cent. szerokie wypustki przy rękawach. Dwoisty kołnierz wykładany, zrobiony także z oby dwóch materyałów.

N. 25. Ubranie strojne letnie.

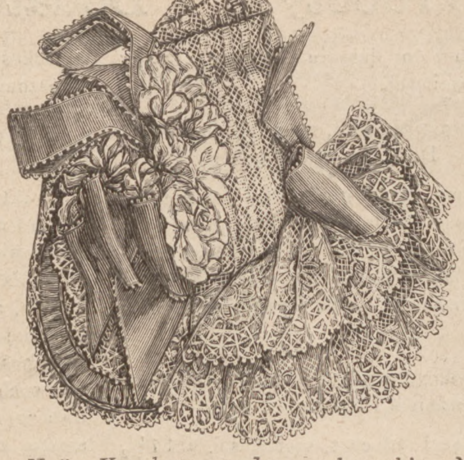
Model odrobiony był z jasno szafirowej *surah* i z *crêpe de chine* haftowanej białym jedwabiem; które jednak mogą zastąpić mniej kosztowne materyały letnie. Część boczną spódnicy nie pokrytą draperyą, układa się w kontrafałdy, resztę w koło marszczy. Gładko spuszczony boczny brzeg draperyi oszyty jest wstążką w atłasie, wyszytą szmelcowanemi perełkami, która w dalszym ciągu, pokrywa dane z boku zapięcie stanika z ba-



N. 1. Szlafroczek formą princesse. N. 2. Ubranie domowe. N. 3. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki.



N. 4. Kapelusz okrągły zdobny piórami i wstążką.



N. 5. Kapelusz ogrodowy z koronki.

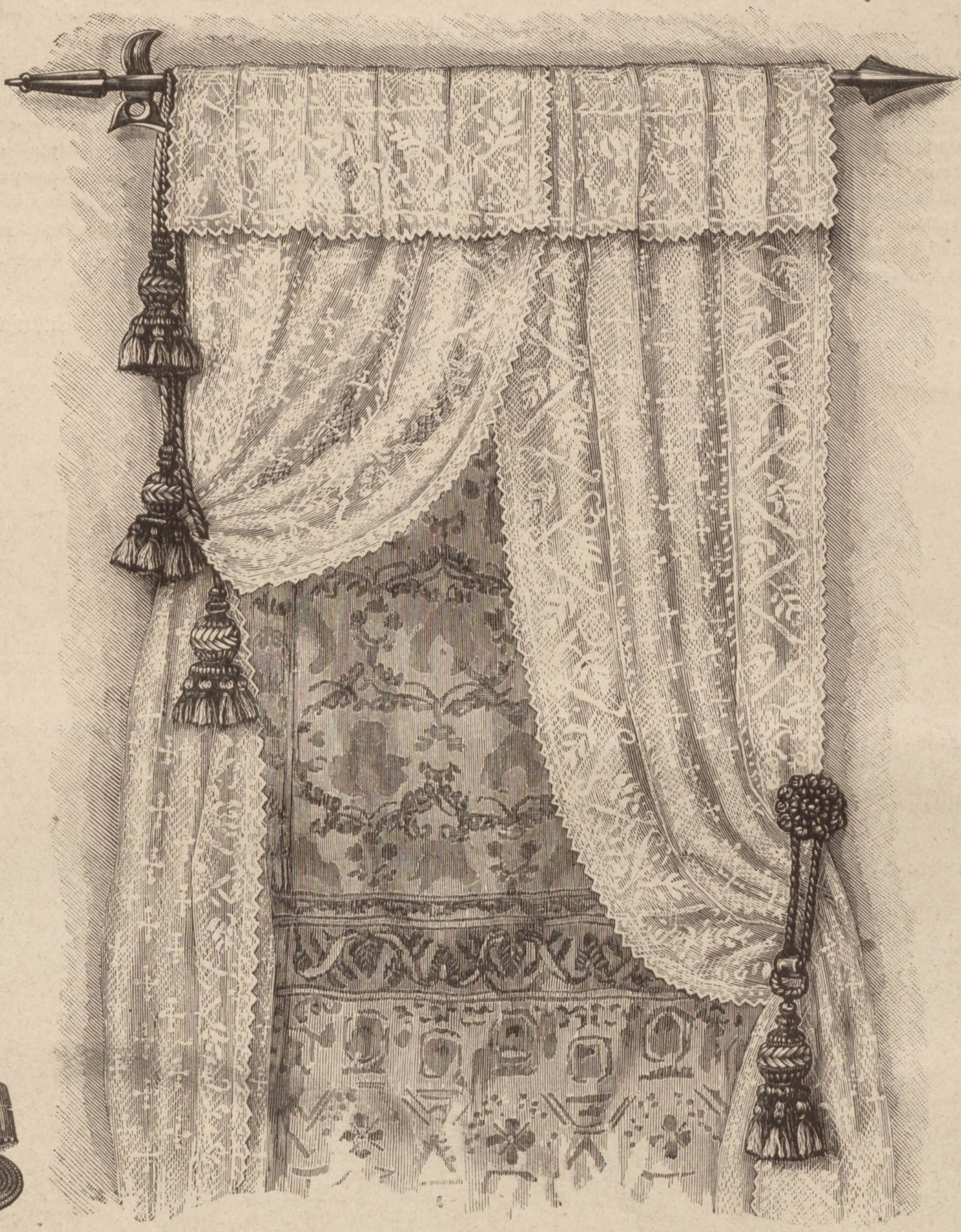


N. 6. Kapelusz ogrodowy słomkowy.

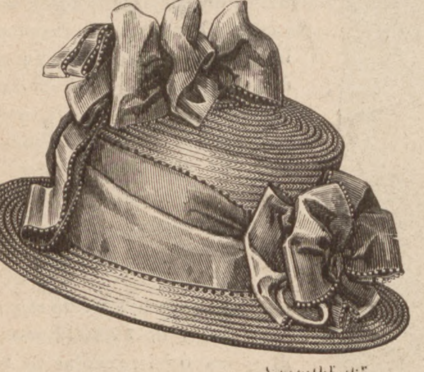


N. 7. Kapelusz przybrany koronką i wstążką. Patrz ryc. 27.

wetem i z krótką baskiną. Plecy stanika są gładkie, a przód na wcięciu w pasie przemarszczony. Pasek między boczne szwy wszyty, kołnierzyk i mankiety są ze wstążki wyszytej perełkami; kokardy ze wstążki gładkiej. Lekko podpięty drugi brzeg draperyi, dopełnia suto upięty, szeroki tylny bryt z *crêpe de chine*.



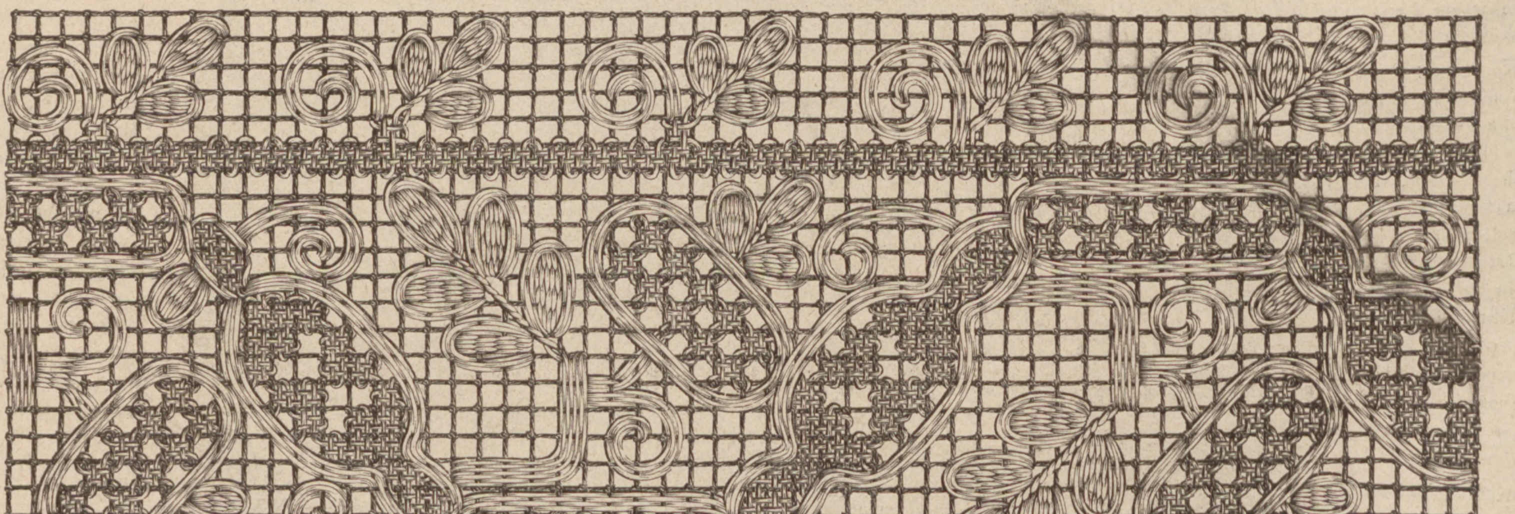
N. 10. Firanki wyszywane na tiulu grosbotowym. Deseń patrz na arkuszu z krojami f. 38 N. 6.



N. 8. Kapelusz dla młodej panienki.



N. 9. Kapelusz przybrany wysoką kokardą.



N. 11. Szlak kolorowy wyszyty na siatce. Patrz deseń ryc. 34 w N-rze 32.

N. 28 i ryc. 25—27 w N. 32. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7, składające się z majtek, żakiety i staniczka pod spód. Krój na dodatku z formami N. III fig. 13—22.

Na r. 25-27 podajemy oddzielnie wszystkie części najwięcej używanego ubrania dla chłopczyków lat 5—7, które połączone przedstawia ryc. 28. Strojny bufiasty żabot, któren na podszewkowym staniku, układa się z materyi albo kaszmiru w jasnym kolorze, można także zastąpić kamizelką, której formę dajemy na fig. 17—18. Na modelu żabot z materyi ottoman, żółtawo piaskowego koloru, ułożony był przy wykroju szyi, w fałdy zajmujące 8 cent. szerokości a 9 długości, a u dołu do prawie takiej szerokości kilka razy przemarszczony i bufiasto spuszczony, boczne brzegi zakładają się w trzy fałdki i wpuszczają pomiędzy boczne szwy stanika. Na ryc. 15 odznaczona jest linijką forma paska danego z przodu, ozdobionego metalowym łańcuszkiem albo kółkami, używanemi przy krakowskim ubraniu, któren przyszywa się krytym szwem na staniku. Do kamizelki i do podszewkowego stanika przyszywa się z boku paski zapinane z tyłu na sprzączkę. Robota majtek i żakiety jako znana, nie potrzebuje opisu. Model zrobiony był z sukienka ciemno bronzowego.

N. 29. Suknia z długą draperyą dla niedorosłej panienki.

Na gładkiej spódniczce, długa draperya jest z jednego boku tro-

chę podpięta, z drugiego aż do góry otwarta. Bufiasto upięty bryt tylny, jest z tego boku podpięty w górę sznurem jedwabnym z kwastami. Szeroki wolant przy draperyi, kołnierz marynarski i obłożenie pół długich rękawów są robione haftem gipiurowym albo szwajcarskim.

N. 30. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Gustowne ubranie odrobione było z bastu jedwabnego, gładkiego i w rzucik kolorowy. Spódnicę deseniową w kontrafałdy ułożoną, szeroko otwarta z przodu, dopełnia część fartuszkowa z gładkiego materyału, poddana od spodu, plisowana i ubrana kokardami ze wstążki, która zdaje się stanowić dalszy ciąg żabota. Żabot w górze do 7, na wcięciu w pasie do 12 cent. drobno, sfałdowany w długie fałdki, w środku bufiasto odstający, u dołu zakończony jest podwójnie spuszczoną bufę. Także bufa deseniowa stanowi baskinę stanika. Pół długie rękawy zakończone bufą gładką. Pasek z szerokiej wstążki zapięty na sprzączkę.

N. 31. Suknia z vêtement. Krój podług formy do r. 23 i 37 w N. 32.

Podszewkową spódnicę pokrywa zwierzchnia, z przodu gładka z tyłu suto sfałdowana, widoczna z pod vêtement podpiętego z boków. Przody vêtement formą *princesse*, w górze przemarszczone w formie karczka, na wcięciu w stanie agrafą złączone, zapinają się z boku. Długi wykrój przodów zapełnia plastron aksamitny z haftowaną szmizetką. Krótkie plecy dopełnia suto upięty bryt tylny. Kołnierz szeroki wykładany, zaokrąglony jest z tyłu.



N. 12. Malowanie i wyszycie na narożnik do ryc. 14.



N. 13. Książeczka do zapisywania bielizny. Patrz ryc. 12 i 14.



N. 14. Książeczka do zapisywania bielizny. Malowanie i haft. Patrz ryc. 12—13.



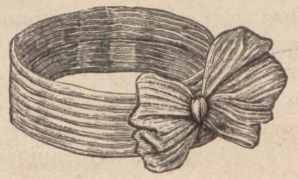
N. 15. Kołnierzyk z perełek.



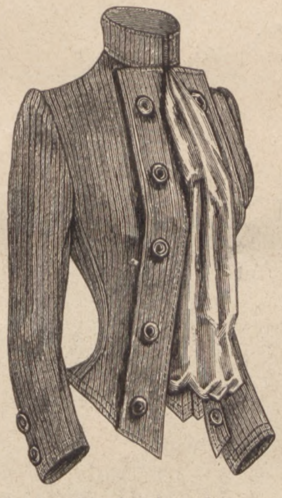
N. 17. Woreczek do robót. Patrz ryc. 18.



N. 18. Woreczek do robót. Otwarty patrz ryc. 17.



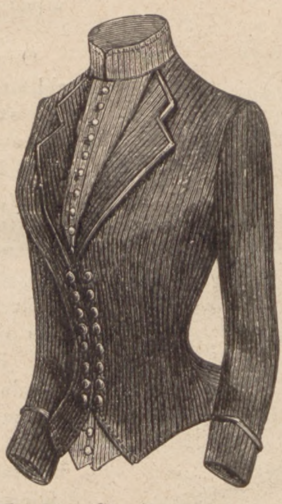
N. 16. Krawatka krepowa.



N. 19. Staniczek trykotowy z żabotem.



N. 21. Stanik bluzkowy z tiulową szmizetką.



N. 20. Stanik jersey z ranwersami.



N. 22. Suknia z fartuszkową tuniką. Krój na arkuszu N. IX, fig. 35.



N. 23—24. Suknia z vêtement skośnie zapiętem. Opis w N-rze 32 przy ryc. 1.



N. 25. Ubranie strojne letnie.

Opis do N-ru 32.

N. 1. Suknia z vêtement skośnie zapiętem. Patrz ryc. 23-24 w N-rze 31.

W N-rze 31 Tyg. mód na ryc. 23—24 przedstawiliśmy całość sukni z żółtawego materyału kanwowego, w połowie szerokości przerabianego w cienkie ponsowe paski, przybranej koronką 16 cent. szeroką i aksamitką ponsową 6 cent. szeroką. Na spódnicy podszewkowej zakończonej drobnem plisowaniem, dana krótsza spódnicy kanwowa w około dolnego brzegu wycięta w szpiczaste patki 10 cent. szerokie, podszyte marszczoną koronką. Vêtement dopasować można podług



N. 26. Kapelusz z alzacką kokardą.



N. 27. Kapelusz przybrany koronką. Patrz r. 7.

formy danej przy ryc. 23 i 37; prawa połowa przodów formą princesse zachodzi aż do lewego ramienia i przy prostym brzegu przednim oszyta jest marszczoną koronką, przykrywającą zapięcie na haftki i dalej w około otaczającą brzegi vêtement. Materyał zwierzchni przymarszczony jest w około wykroju szyi i w pasie, niżej zaś fałdki puszczone są wolno. Lewa połowa przodu, lekko zaokrąglona u dołu, przednim brzegiem przyfałdowanym podchodzi pod prawą połowę. Plecy krajane na długość baskiny, dopełnione są brytem, upiętym beduinowo. Na ryc. 1 w dzisiejszym N. dajemy takież vêtement, przybrane szerokiemi kolorowemi szlakami; prawa połowa przodu nie jest marszczona lecz ułożona w drobne fałdki dochodzące tylko do środka.



N. 28. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Patrz r. 25-27 w N-rze 32.

N. 2. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój i plecy na arkuszu N. I, fig. 1—7 a.

Podług fig. 1—7 kraje się stanik przedstawiony z tyłu na fig. 7 a; szew środkowy pleców i szew boczków z plecami dochodzi tylko do przyszycia fałd danych od spodu. Cienka linia prosta na fig. 1 oznacza krój kaftanikowych przodów poddanych podszewką, naszytych pentlicami ze sznura i szmuklerskiemi guzikami; podszewka przodów w dalszym ciągu służy pod kamizelkę pokrytą materyałem, wpuszczonym u dołu w pierwszą zaszewkę, zapiętą środkiem na guziczki. Kołnierz chusteczkowy z żabotem danym od góry i wysuniętym u dołu z pod kamizelki, plisuje się z materyi surah.

N. 3. Ubranie spacerowe.

Odrobione z materyału wełnianego w drobne paski, ma stanik zbliżony formą do angielskiego mężkiego surduta; przody zapięte jednym rzędem guzików, mają kołnierz wykładany z klapkami, zaszewkę na piersiach i baskinę krótko na biodrach podciętą, z tyłu prosto przedłużoną. Podłużny wykrój dopełniony płóciennym stojącym kołnierzykiem ze szmizetką, związanym kolorową fularową krawatką. Toczek zdobny piórami.

N. 4. Suknia z chusteczką koronkową.

Chusteczkowe pokrycie stanika, dane z plisowanego koronkowego tiulu chantilly, zakończone jest z boków szerokiemi bretelkami z kolorowego aksamitu, skośnie wziętego, szpiczasto zwężonemi w końcach, oszytemi marszczoną koronką, także zwężającą się stopniowo. Karoczko ułożone z pukli aksamitnych podgarnirowanych koronką, z przodu na zakończenie dana kokarda aksamitna, jak na rycinie 34 w N-rze 24.



N. 29. Suknia z długą draperyą dla młodej panienki.

N. 5. Suknia z vêtement. Patrz fig. 41—42.

Jak to wskazuje fig. 41—42 na arkuszu z krojami plecy vêtement krajane są z krótką baskiną, boczki zaś i przody z boku zapięte krają się długo w jednym ciągu z draperyą. Przed wykrojeniem pleców i prawej połowy przodu trzeba materyał zwierzchni założyć w fałdy, w pasie ściśle zachodzące jedne na drugie, ku górze szerzej i płaściej rozsunięte i przewleczone wstążką podług r. 5; każde przewleczenie, jak również pasek dany z przodu zakończony jest kokardą.

N. 6. Suknia z bawetowym stanikiem.

Odrobiona z fularu w kolorowe bukiety, ma stanik bawetowy kwadratowo wycięty z przodu, dopełniony bogato haftowaną szmizetką. Kołnierzyk stojący opasuje dwojaka wstążka przewijana w odstępach, dana także na zakończenie wykroju. Sute kokardy przy staniku i rękawach.

(D. c. n.)



N. 30. Suknia ze stanikiem do paska. N. 31. Suknia z vêtement.